

Tomasz Sobieraj

Karol Maliszewski SAJGON

Krytyk i eunuch z jednej są parafii,
Obaj wiedzą jak – lecz żaden nie potrafi.

Tadeusz Boy-Żeleński

Kiedy już krytyk otrząśnie się ze zniewagi i postanawia udowodnić, że dwuwiersz Boya to krzywdzące uogólnienie, może zrobić się interesująco – szczególnie, gdy tym krytykiem jest nauczyciel, historyk filozofii i doktor nauk humanistycznych w jednej osobie, mentor nowych pokoleń ludzi pióra, sędzia poetów i pisarzy, Karol Maliszewski. Zaiste, człowiek to wielkiego ducha, skoro postanowił poddać się publicznej wiwisekcji i opublikować, częściowo za pieniądze podatnika, „osobiste wyznania wyzwalające oczyszczający wstrząs” – że posłużę się cytatem z *Sajgonu*, w najkrótszy sposób charakteryzującym tę książkę.

Gdyby jednak ktoś spodziewał się w wydaniu Maliszewskiego dzieła tej miary, do jakiej przyzwyczaili nas współcześni klasycy tego gatunku, jak np. Masłowska, Kalicińska czy Stasiuk, rozczaruje się – i to pozytywnie. Wiem, to co piszę, jest herezją. Jednak od naszego bohatera dzieli te osoby dystans niełatwy do pokonania. W przeciwieństwie bowiem do krótkich jak u słabego czwartoklasisty zdań Stasiuka, Maliszewski pisze zdaniami długimi, złożonymi, pozwalającymi nabrać oddechu i pędu, wskazującymi na lepszy warsztat pisarski; od Kalicińskiej różni go to, że pisze o rzeczach ważkich, a nie o pierdołach dla egzaltowanych pań i unika nieistotnego dialogowania, zaś od Masłowskiej dzieli go ta gruba kreska, która rozgranicza ludzi w pewnym sensie świątłych od półanalfabetów. Także w warstwie fabularnej autor *Sajgonu* potrafi wznieść się nieco wyżej, i z reporterskiej powłoki przedstawiającej życie prowincji uczynić pretekst do sporu o uniwersalia – czyni to trochę nieporadnie, naiwnie, ale zawsze jest to przynajmniej próba nadania literaturze istotności, a nie zwykłe wynurzenia gminnego pisarza. Odwrócona aksjologia, tak niepokojąca autora, wysuwa się zatem na pierwszy plan podskórnego obiegu tej książki, na równi z zagadnieniami egzystencjalnymi i ontologicznymi, przedstawionymi może niezbyt odkrywco, trochę infantylnie, jednak – o czym należy pamiętać – nie jest to praca filozoficzna, nawet nie powieść w ścisłym słowa tego znaczeniu, a jedynie zbiór refleksji nad rozkładającym się światem i postępującym zbydlęcieniem człowieka. Dlatego to, że Maliszewski nie potrafi narzucić sobie pisarskiej dyscypliny, pisząc często w sposób chaotyczny, rwący się jak nie przymierzając pijacka opowieść, nie jest w stanie umniejszyć wartości tej książki jako głosu nad stanem człowieczeństwa.

Można też czytać *Sajgon* jako utwór stanowiący z jednej strony wyraz umiłowania swojej małej ojczyzny, a z drugiej jako przejaw frustracji i kompleksów małomiasteczkowego nauczyciela, niedocenianego literata i starzejącego się nieuchronnie mężczyzny. Nie mniej znaczący jest interwencyjny charakter niektórych fragmentów książki, w których autor poddaje krytyce lokalne władze (a nawet system polityczny kraju, będący tutaj formą jakiejś zwyrodniałej demokracji zbliżonej do narodowego socjalizmu), wytyka upadek wartości duchowych, wskazuje na intelektualną nędzę literatury, literatów i krytyków, ujawnia niesmaczne kulisy konkursów poetyckich i niezasażonych karier poetów, w pełnym świetle pokazuje głupotę systemu edukacji i jego pracowników, obnaża miałość i nieuctwo krytyki. Dostaje się nawet kościołowi i klerowi, co świadczy o odwadze Maliszewskiego, albo o skłonnościach samobójczych. Zastanawia tylko, jak to jest, że wcielone w różne postaci tej książki literackie alter ego Karola Maliszewskiego oraz on sam, bohater tej niepowieści, taplający się w bagnie polskiej rzeczywistości, nie ulegają zabrudzeniu, stanowiąc wzór etycznego dandyzmu – to już zalatuje bajkami z mchu i paproci, na które pan doktor nas nie nabierze. Także wzorcowa mądrość bohaterów-narratorów występujących w *Sajgonie* wydaje się podejrzana i nieco śmieszna, przywodzi bowiem na myśl wypracowania

uczniów podstawówek, w których programowo przedstawiają się jak skrzyżowanie św. Franciszka i Batmana, ale cóż, *licentia poetica* – chociaż w przypadku prozy mocno tkwiącej w świecie realnym, winna być dawkowana z umiarem.

Zdumiewa nieco pojawiający się w tej książce erotyzm. Zdumiewa nie tym, że jest, ale że taki bezbarwny, jak w mongolskim pornolu. Widać autor wyszedł z założenia, że dla każdego coś milego, bo to zwiększy sprzedaż, ale mistrzem gatunku to on nie jest. Wykorzystałem swoje skrzywienie zawodowe i wykonałem drobną analizę zachowań seksualnych przedstawionych na kartach tej książki. W sumie, na 27 rozdziałów *Sajgonu*, w 14 pojawia się jakaś forma seksu, czyli w ponad połowie. Ulubionym rodzajem erotycznego szaleństwa jest dla Karola Maliszewskiego masturbacja, pojawiająca się 4 razy, pozostałe występują jednokrotnie i pozwolę je sobie wymienić, bo to temat, który chyba wszyscy lubią, a i uczciwość krytyka tego wymaga. A zatem: orgia, robienie loda przez nieletnią, niezidentyfikowane zabawy pod kołdrą, rozważania o pochwach, rozważania o ruchach frykcyjnych, seks grup mniejszościowych, przedwczesny wytrysk, fetyszyzm grupowy, pochwa indywidualna, orgia zakonnicy, wytrysk gejzeru (nie wiem, czy to się liczy, ale kto wie, Maliszewski to też poeta i przecież to może być metafora, a może nawet alegoria). Niestety, nie są to barwne opisy, a jedynie szkice, wzmianki, sugestie, drobne bączki, dlatego, chociaż to kuszące, nie można zaliczyć *Sajgonu* do jakże ubogiej w naszej literaturze kategorii erotyki. Czytelnikom zaniepokojonym tak znacznym udziałem masturbacji (28,57% ogółu zachowań seksualnych) polecam pójście na konkurs poetycki – jurorom (obojga płci) naprawdę nic innego nie pozostaje, szczególnie jeśli mają do czynienia z twórcami awangardowymi. Niemniej, po tych twardych danych statystycznych, trochę strach zajrzeć do Nowej Rudy, szczególnie w czasie wakacyjnych ekskursji, kiedy to uwolniony od szkolnych obowiązków i wypoczęty Karol Maliszewski przechadza się po miasteczku i okolicach, i nie wiadomo, co myśli wspinając się niczym prowincjonalny Settembrini na równie prowincjonalną Czarodziejską Górę, czyli np. Wielką Sowę. Uprasza się zatem o niewysiadanie z samochodu, a najlepiej to od razu walić przez Kłodzko na Kudowę i do Czech albo Austrii. No, chyba że komu wszystko jedno.

O ile erotyczna wyobraźnia Karola Maliszewskiego w istocie nie ma dla nas większego znaczenia, to powinna nas interesować jego wyobraźnia w ogóle – w końcu podobno to pisarz i poeta, a nie reporter. Od lat twierdzę, że rzeczywistość powinna być pokarmem, który artysta zamieni w energię, energię, która olśni. Rzeczywistość powinna być strawą, z jakiej artystyczne zwierzę zbuduje mocne tkanki, kości, ścięgna, mięśnie i krew swojej sztuki. Jednak większość – tak zwanych – artystów i krytyków uważa, że samo życie jest sztuką i wystarczy je opisać, najlepiej awangardowo, czyli nieudolnie, by powstało dzieło – ci stanowią ten porykujący głośno tłum niedouków. Karol Maliszewski ma większą świadomość, bo jednak skończył szkołę a nawet ma doktorat – co prawda o dyskusyjnych znamionach naukowości, ale zawsze – zatem usiłując przypodobać się wszystkim, wybrał coś pomiędzy odtwórczością a kreacją, rynsztokiem a estetyzmem, bełkotem a intelektualizmem, czyli krótko: sztuką ludową a elitarną, co powoduje jego rozdarcie, a nawet niesie ze sobą ryzyko jeśli nie depresji, to schizofrenii. Cóż, nie każdego stać na to, żeby zachować się jak podmiot liryczny w wierszu Roberta Frosta *The Road Not Taken*, i nie można tego wymagać od słabej, człowieczej istoty, podszytej dzieckiem i targanej sprzecznościami. Można natomiast od niej wymagać, szczególnie jeśli jest nauczycielem, żeby ustaliła zasady i trzymała się ich, a jeśli i to za dużo, by przyjęła zasady cudze, i zaczęła stosować jako program własny, twardo i konsekwentnie. Karol Maliszewski jednak nie wybrał żadnej z dróg i wlaź w krzaki między nimi, co jakiś czas gubiąc się i po omacku trafiając na jedną lub drugą, za każdym razem zachwycając się odkryciem, po czym z masochistycznym upodobaniem zapada w ciernie, kalecząc się jak niesforny Karolek, który nigdy, na złość wszystkim, nie zostanie mężczyzną. Postawa naiwna, która doprowadziła do tego, że to, co robi w literaturze, nie jest pełne, nie jest nawet zamkiem z piasku, jest dopiero piaskowym podzamczem. To i tak więcej, niż u większości, ale za mało, aby być z siebie zadowolonym, do tego wystarczy jedynie na nadmuchaną wielkość, jakich już pełno w polskim grajdole. A przecież każdemu poważnemu artyście chodzi o wielkość prawdziwą. Wracając do rzeczywistości jako pokarmu dla wyobraźni – Karol Maliszewski pokarm znajduje, bo pełno go dookoła, ale niestety, ma problemy

z przyswajaniem, więc szybko wydała niestrawione resztki, przez co nie rośnie, słabnie i popada w anemię. Skutek jest taki, że zamiast pełnego fantazji i nowych artystycznych bytów ryku lwa z Nowej Rudy, mamy żalosne skamlenie kojota – skamlenie na pogarszającą się rzeczywistość, której sam, w jakimś sensie, jest twórcą.

W sumie jednak *Sajgon* jest głosem istotnym – oczywiście nie jako dzieło literatury pięknej, bo twórcza impotencja i warsztatowe braki to wykluczają, ale istotnym jako przyczynek do, może w końcu poważnego i rzeczowego, dyskursu o jej stanie, o dewaluacji wartości i konieczności ich przewartościowania. A że to głos jednego z tych, którzy sami nagrzęszyli jako sędziowie poetów i pisarzy promując mierność, ludowość i wtórność, to lepiej, bo świadczy albo o nieznośnym poczuciu winy i chęci naprawy wyrządzonych szkód, albo o nieskrywanej hipokryzji, pysze i arogancji. Obie ewentualności mnie cieszą, bo też mam paskudny charakter.

A teraz jeszcze gratis dla czytelnika niniejszej pracy sprowokowany dziwacznym obyczajem kultywowanym przez polską krytykę, a polegającym na streszczaniu fabuły i komentarzach do niej. Zwyczaj ten wynika zapewne z luk w edukacji, ale zaczął mi się podobać, bo czyni pracę krytyczną łatwiejszą i bardziej zabawną, więc postanowiłem go przyswoić i powołać do życia „nową świecką tradycję”, czyli dołączać do mojego tekstu bryk, streszczenie – jak kto woli, niekiedy używając w nim słów autora, czasem jego uczniów, apostołów i apologetów. Mam nadzieję, że zachęci to do lektury książki. Owoc tego eksperymentu poniżej.

Rozdział I

Literackie alter ego autora jest rozdwojone – to nauczyciele: Teodor Szeremeta, mówiący prowincjonalną polszczyzną ortograficznie ortodoks, i on sam, Karol Maliszewski. Toczą bój o poprawną ortografię, a koleżanka z pracy, Janina Świstak, to ewidentna półanalfabetka. K.M. sugeruje, że nauczyciele, czyli także jego koledzy i koleżanki, to bezmyślne głupole po studiach wieczorowych (przy czym on też, zdaje się, kończył polonistykę na wieczorowo-podyplomowych-skróconych kompletach). Bohater zresztą ma wątpliwości, czy nie jest taki sam, jednak po chwili rozwiewa je na swoją korzyść twierdząc, że posiada wyższą świadomość, przez co należy do odmiany intelektualnie górującej nad resztą nauczycielskiego (i nie tylko) plebsu, czego dowodem jest to, że pisze (sic!) – ryzykowne stwierdzenie w czasach literatury opanowanej przez dyslektycznych niedouków. Bohater nie kryje swojego upodobania do ochleństwa, co, jak można sądzić, jest typowo nauczycielską przypadłością. Heroicznie walczy z religijną grafomanią (ale trochę szkoda, że nie ze świecką – ale jakże mógłby – K.M. w realu to przecież apologeta grafomanów). Nie lubi się z myślącym i niesfornym samochodem produkcji japońskiej, przywołującym na myśl deliryczne wizje. Udaje się więc na szkolną pielgrzymkę do Częstochowy, gdzie w kolejce do kibla snuje naiwne rozważania egzystencjalne przeplatane pseudoontologicznym baraboleniem (nie pozbawionym w chwilach większej jasności umysłu diagnoz odważnych). Rozdział kończy się masturbacją bohatera w sądzie – wykonaną profesjonalnie przez panią prokurator – i szczęśliwie, wytryskiem.

Rozdział II

Bohaterem jest prowincjonalny żurnalista cierpiący na *weltschmerz*, który stawia diagnozę stanu społeczeństwa, znajdując w nim jedynie 5% sprawiedliwych (jak to policzył?) do których oczywiście sam się zalicza. Podniesiony na duchu usiłuje uwieść kulawą koleżankę z pracy, ale bez powodzenia. Dopiero podczas ogólnomiasteczkowej orgii w ponemieckich bunkrach odbywa upragniony stosunek płciowy z wyżej wymienioną niewiastą, po którym awansuje, toczy boje z małomiasteczkową sitwą (do której oczywiście należy także babrzący się w moralnym bagnie kler), wynosi na szczyty lokalną gazetę i czyni za jej pomocą dobro, obsypując mieszkańców Radkowa (koło Nowej Rudy) deszczem pieniędzy.

Rozdział III

Bohater obejmuje sytuację myślą i daje wskazówkę młodym adeptom sztuki pisarskiej, że należy

panować nad fragmentem świata, jednocześnie odważnie rezygnuje z pojęcia „widoczne szwy” na rzecz pociągania za niewidoczne sznurki. My też wolimy pociągać. Na scenie pojawia się tajemnicza Marysia, poddana równie tajemniczym badaniom, dzięki którym ma papiery na rozmnażanie. Przychodzi wiosna i śpiewają ptaki a półmyśl bohatera pragnie zaistnieć obiektywnie. Marysia zbliża się do murarza Janka i udziela się społecznie wokół kościoła i harcerstwa, a Janek obwąchuje brunetkę wydzielającą woń (jąką i skąd, K.M. taktownie milczy). Rozlega się lament nad ciężkim losem utalentowanej młodzieży z małych miasteczek (do której kiedyś K.M. należał, to wie jak to jest). Marysia tłumaczy, że nie pisze wierszy, bo z nią i ze światem wszystko jest w porządku (tak, według wielu poezja winna mieć charakter interwencyjny, nie intelektualno-estetyczny). Świat jest w tym rozdziale podobny do świata orwellowskiego albo naszego, szczęśliwie, można się onanizować, co Janek czyni z zapalem, po czym Marysia umiera a narrator deklaruje wiarę w człowieka.

Rozdział IV

Docieramy do Sajgonu – bynajmniej nie uroczego miasta w delcie Mekongu, ale mrocznego osiedla artystów, dziwek i żuli w Nowej Rudzie. Jednocześnie to rodzaj niekomercyjnego Broadwayu, gdzie kwitną awangardowe teatry opanowane głównie przez dziatwę. Następuje pochwała odpowiedzialności. Nikt się nie onanizuje.

Rozdział V

Zaczyna się dobrze, bo od słusznego skądinąd dowalania pseudointelektualnym wygibasom artystów (przyganiał kocioł garnkowi). Bohater staje się wilkołakiem, pragnie krwi, ciała i zabijania, więc aby sobie ulżyć, czyta poezję i robi pranie. Reklama „Zabki”. Pojawia się jedenastoletnia Klaudyna, pochodząca ze środowiska prostytuujących się alkoholików, i dowiadujemy się, że miasteczko ginie, bo codziennie wyjeżdża z niego kilka autobusów z emigrantami. Żeby nie było tak smutno, dziewczynka onanizuje się, a bohater – nauczyciel, uczy dzieci uśmiechu i nie informuje o czyhającym determinizmie, zaś w bramie śmierdzi uryna i odpoczywa rozkładający się szczur (rozłada się odpoczywający szczur, szczurzy się odpoczywający rozkład, rozkłada się szczurzy odpoczynek, itd. – ileż to możliwości daje nam polska mowa by awangardowo opisać tę depresyjną rzeczywistość!).

Rozdział VI

Miasteczko pisarzy i poetów. Bohater jest krytykiem i mentorem, poucza naród jak należy pisać, jednocześnie składając samokrytykę, że jest dupa a nie pisarz (z czym trudno się nie zgodzić, i bynajmniej nie jedynie przez grzeczność). Poszukuje lokalnej duchowości (chwała mu za to) i przyznaje, że teoria rozmija mu się z praktyką (a jednak widzi, że nieudolny, ten K.M.). Nikt się nie onanizuje, i pewnie dlatego rozlega się lament nad małomiasteczkową duchową nędzą.

Rozdział VII

Panuje faszyzm, albo demokracja, wszystko jedno, takie to teraz podobne. Trochę nawet jak z *Domu Nadzoru* albo *Procesu* – dobre, skądinąd, wzory. Bohater Kamil pragnie fragmentarycznie wycofać się z życia i przysłuchuje się ontologicznemu dyskursowi starszków, jednocześnie gardząc Faulknerem, który nie jest Olgą Tokarczuk. U Kamila stwierdzono depresję, więc bierze udział w konkursie literackim, ale bez powodzenia. Z dna wyciąga go telefon od starej znajomej, która prosi, by został jurorem konkursu poetyckiego (już wiemy, skąd rekrutują się jurorzy, zawsze podejrzewaliśmy, że to jacyś nieudacznicy); zostaje i nagradza starszą panią piszącą rymy w stylu Brzechwy, co może oznaczać, że nie jest alter ego K.M., który przecież by nagroził kogoś z twórców rynsztokowych. Jedzie do Biłgoraja jurorować w innym konkursie, gdzie spotyka Karola Maliszewskiego, radzącego mu regulować teksty po kątem odbiorcy (jaki on mądry w teorii, ten Karol, ale tylko w teorii). Pojawia się Zosia, śniąca o rodzinnych sobotnich ablucjach w pohitlerowskiej wannie, a my dowiadujemy się, że Zosia ma krocze słabo owłosione i ogromne piersi, a jej matka odwrotnie, co sugeruje, że piersi i krocze Zosia ma po ojcu. Poznajemy też jej

preferencje seksualne oraz upodobania literackie jej partnera, zaczytującego się w genialnym tłumaczu i niepoecie Barańczaku, niedouczonym grafomanie Świetlickim i zmadrałym na starość sporadycznym poecie Waciu. Oświecona lekturą Zosia w końcu zaczyna kapować, o co chodzi w poezji, i zostaje recenzentką, chwilę później jurorem (no, tak też rodzą się jurorzy) konkursów literackich. Czas na Bożenkę, również jurorkę, i księgową z domu pomocy społecznej, w którym pensjonariusze głównie się onanizują lub poszukują partnerów seksualnych, a jedna matka nawet wali konia swojemu synowi co piątek (pytanie do wyrodnej kobiety: co tak rzadko?). Nagle narrator przeprowadza krytykę lektur szkolnych. W kolejnej scenie Kamil z Zosią gmerają sobie gdzieś, przykryci kołdrą. Przychodzi Karol M. i Bożenka, dzielą nagrody za wierszyki w centrum wydarzeń duchowych, jakim jest Biłgoraj. Karol nie chce słuchać o cudownych właściwościach łechtaczki Zofii ani zapoznawać się ze sromem Bożenki, więc bierze grzałkę (po co? ohyda, tfu, Karol!) i wychodzi. Jest nam przykro, że autor postępuje egoistycznie, bo lubimy łechtaczki i sromy. Następuje ironiczne zadumanie Karola Maliszewskiego nad prowincją i jego pretensje do prasy centralnej, że nie dostrzega oddolnych inicjatyw i twórców prowincjonalnych (czytaj: takich jak on). Picie piwa. Karol żali się, wręcz spazmuje, że poezja dla młodych to nie czynność metafizyczna, tylko hobbystyczne pitolenie, sugerując tym samym, że Podgórnica, według niektórych kryteriów niestara, to jednak pitoląca amatorka, a Szymborska nie. Coś nam tu nie gra.

Rozdział VIII

Z gospodarstwa agroturystycznego przenosimy się do miasteczka, przez które maszeruje żalonna w swym rozkładzie orkiestra górnicza. Pojawiają się dwaj dziennikarze, aż z Krakowa, którzy trafiają na prowincjonalnego poetę, ale zapominają, po co przyjechali. Nowa postać – Czarny, fagocista, rozmyśla nad pochwami kobiet, raz suchymi, ściśniętymi, innym razem znów rozłożonymi, klapciastymi i mokrymi, w które wchodzi albo nie, ale zawsze na końcu zabiera fagot. Dziennikarze odzyskują pamięć i włóczą się z poetą-nauczycielem po miasteczku samobójców. Śmierć kolegi poety i wspólne czuwanie z Olgą Tokarczuk, która mieszka niedaleko i widuje kosmiczny koperek. Wokół biedaszyby i ogniska. Nikt nie kopuluje, żadnej masturbacji, jakoś tak dziwnie, nieswojo.

Rozdział IX

Poświęcony prelekcji i rozważaniom na temat braku piękna w ruchach frykcyjnych, które (rozważania) przechodzą w lament bohatera nad sobą samym i życiem utraconym. Szczęśliwie następuje katharsis (nie wiemy, w czym ujęciu, a jest ich trochę), po nim praca organiczna i samorozwój. Godne pochwały. Jesteśmy zbudowani.

Rozdział X

No copulation, no masturbation. Zgroza.

Rozdział XI

Nauczyciel rozmyśla nad kanibalizmem metafizycznym, śmiercią gliny z rąk garncarza i robakach, oczywiście w kroczu, po czym kopie ucznia (uczciwie należy przyznać, że gówniarz zasłużył) i snuje rozważania na temat nieprzystawalności programów wychowawczych i edukacyjnych do rzeczywistości, obnaża głupotę szkolnej papierologii, kuratoriów, wydziałów edukacji i innych jednostek (i tutaj należy się zgodzić z autorem, bo to facet i praktyk, więc nie lubi tej polskiej pozorności wynikającej z nadmiaru rządzących bab, nawet tych z jajami, co to udają facetów). Żadnego seksu. Nic.

Rozdział XII

Bohater pomaga Teresie w transporcie świerkowych gałęzi (pytanie do leśnictwa: czy zdobyła je legalnie?) i wspomina wycieczkę do Niemiec. Czytelnika ogarnia niepokój – trzeci rozdział bez kopulacji, i to u Niemców?!

Rozdział XIII

Początek pisany jakby po pijaku, szczęśliwie następuje powrót do prelekcji z rozdz. IX. Dowiadujemy się o życiu seksualnym różnych grup mniejszościowych i poznajemy zakonnicę rozmyślającą o męskości i kremach przeciwzmarszczkowych. Prelegent mówi o skurwieniu literatury i wydawców, a siostrzyczka obnaża swoje kryptolesbijskie i jawnopogańskie skłonności.

Rozdział XIV

Szkolna wycieczka do Czech i wyznania o kobietach mądrych, luzujących smycz, o byłej zonie-potworze rujnującej życie bohaterowi i, co najważniejsze, o przedwczesnym wytrysku, który pamiętamy z wczesnej młodości, i pewnie dlatego ogarnia nas nastrój sentymentalny. Wyjmujemy zdjęcie naszej pierwszej kobiety głęboko schowane pośród narzędzi (albo książek, płyt, pornoli, resoraków – obojętne) i zastanawiamy się, jakby to było, gdyby to ona zrzędziła teraz w kuchni, a nie ta stara k...

Rozdział XV

Znana z rozdz. V Klaudyna umie już robić loda. W tym wieku, i taka mądra! Bohater jedzie rowerem i wyjawia, że nie znosi poezji, która ma coś do zrobienia, która chce nas urobić i źli go, że musi odłożyć estetyczne skrupuły (sic!). Panie Karolu, i znowu teoria sobie, życie sobie. Głupio tak.

Rozdział XVI

Bohater skręca w polną drogę i robi to, o czym inni mogą tylko pomarzyć siedząc w mieście: uprawia seks grupowy z ziemią, trawą i zwirem w rowie. Dyszy i delikatnie dotyka sutków ziemi i rozgarnia trawę jak włosy łonowe, a ta dziwka jest gotowa do kopulacji z kimś innym. Ziemia to kurwa. Wybieramy naszą starą, wierną sztuczną pochwę, którą kupili nam koledzy z pracy na imieniny.

Rozdział XVII

Bohater infantylnieje i zamienia się we Władysia Pałysa, ucznia klasy piątej noworudzkiej podstawówki, który podczas czynu społecznego znajduje trupa pięknej dziewczyny i zakrywa jej nadpiżdzie listowiem.

Rozdział XVIII

Posiedzenie klubu literackiego „Dziewięćsił” i przyjmowanie do niego sprzątaczkii Marii Klaczko, która nie ma warsztatu, robi błędy ortograficzne i stylistyczne, i ogólnie pierdoli od rzeczy, co, jak wiemy, kwalifikuje ją do miana nowoczesnej poetki, a realnemu Karolowi Maliszewskiemu nie przeszkadza, świadczą bowiem o tym jego poetyckie pupilki (pipulki?). Natomiast książkowy Karol Maliszewski zostaje w tym rozdziale posądzony o awangardowość, czyli w naszym rozumieniu nieudolność. Niska samoocena, ale jakoś to wszystko pasuje. Zero kopulacji. Czysta ohyda.

Rozdział XIX

Zaczyna się rozważaniem narratora o poruszeniu, jakie powinien wywołać wiersz (zapomina dodać, że różne rzeczy różnych ludzi poruszają, że to kwestia wrażliwości, smaku, wykształcenia i paru jeszcze innych cech, zatem K.M. wypowiada kosmiczną głupotę, według której poruszenie jest uniwersalne, jednakie dla chama i pana, a jestem w stanie założyć się o większą kwotę, że Masłowska poruszy Świetlickiego, ale nie znalazłaby uznania u Staffa). Następuje krytyka innych jurorów, że są interesowni, nie to co on, uczciwy. Dalej bohater zostaje nauczycielem akademickim i bredzi podobnie jak jego niedouczeni zaoczno-wieczorowi studenci na płatnych studiach, wyobrażający sobie, że są co najmniej w Gaju Akademosia i siedzą u stóp Platona (figa, poniosły mnie wodze wyobraźni – pewnie nigdy o tym nie słyszeli). Bohater siedzi i onanizuje się pseudointelektualnym wierszykiem jako Wujek Dobra Rada. No, i wreszcie coś dla ludzi – idzie płeć i wystaje jej z pochwy trawa. Nie wiemy jaka, pewnie turzyca łąkowa. A może bambus? Byle

nie kostrzewa sina, której mamy pełno w ogrodzie i nas wkurwia. Dalej nuda, jakieś brednie o niemęskości wiersza pewnego grafomana, który nie chodził do niego na warsztaty – tak jakby mógł się tam czegoś nauczyć! Na warsztaty, panie Karolu i Drogi Czytelniku, to się bierze kilkaset tomów klasyków literatury, filozofii, historyków i przyrodników, siedzi się nad tym dziesięć lat, albo dwadzieścia, a nawet trzydzieści (gdy trzeba jeszcze pracować zarobkowo) – w przerwach pisząc, skreślając i nie śpiesząc się z wydaniem. Bo wydać książkę to nie problem, ale, jak mówią Rosjanie, słowa wydrukowanego siekierą nie wyrąbiesz. Taka przestroga dla niecierpliwych i próżnych.

Rozdział XX

Nauczyciel pisze na nowo kronikę szkoły, streszczenia dla całej gminy, a za zarobione pieniądze jedzie do Chorwacji, gdzie mu przecieka namiot, w związku z czym nie kopuluje ani nawet nie onanizuje się. Lato Muminków.

Rozdział XXI

Bohater wpada w ni to trans, ni to sen na jawie. Ma widzenia, które po latach zaowocują poezją. Żadnych seksualistów, za to ot tak, na osłode, padają ulubione słowa współczesnych największych polskich poetów i pisarzy: skurwysyny, chuje, spierdalać, co jasno wskazuje, że mamy do czynienia z literaturą wybitną.

Rozdział XXII

Ksiądz, ksywka Żuku, klnie nad cynaderkami i przystępuje do pisania kazania, w którym przestrzega przed nadmiernym zaufaniem do literatury i jej twórców. Następuje nieskoordynowane przejście do wyznań kościelnego Weszbury i Teodora Szeremety – ten drugi nawet niegłupio kombinuje, chociaż niezbyt odkrywczco, co można wybaczyć, bo w końcu jest z Nowej Rudy i trochę nam go żal.

Rozdział XXIII

Bohaterka jest młodą, znerwicowaną nauczycielką, której stażem opiekuje się miejscowy literat, też nauczyciel, ale starszy. Pewnie Karol. Marazm. Weryzm. Beznadzieja. Bezradność. I co najgorsze, bezseks.

Rozdział XXIV

Światowo, ale też jakby prowincjonalnie. Islandia. W każdej wsi poeta, a w miasteczku całe ich zastępy, zupełnie jak w Polsce. Bohater żartobliwie napomyka o wytryskach gejzerów, po czym myli mu się busz, czyli formacja krzewiasta z terenów suchych, z intensywną uprawą mandarynek i bananów – ale jest to wybacalne, bo na chuj komu ta wiedza potrzebna. Dowiadujemy się również, że na Islandii wszyscy chłają na umór, też jak w Polsce. Islandia to zatem raj dla polskich poetów (Świetlicki to jeszcze siedzi w tym obsranym Krakowie?) By zatrzeć niemiłe wrażenie z wtopy z buszem w szklarni, bohater popisuje się wiedzą z tektoniki, ale taktownie nie rusza geologii. Może to i lepiej. W końcu czytaliśmy Goethego i wiemy, jak to się robi z klasą. Na Islandii nie ma życia płciowego. Nigdy tam nie pojedziemy.

Rozdział XXV

Bohater, nauczyciel, odkrywa, że ma martwą przeponę. Naprawia ją w Wałbrzychu, ale dostaje mandat, na szczęście ze zniżką, więc oddychamy z ulgą. Przychodzi na spotkanie autorskie z Karolem Maliszewskim, który właśnie wrócił z Islandii i twierdzi, że ryby są tam wszędzie. Opowiada o noclegu w klasztorze i następuje wizja nagich zakonnic leżących plackiem przed lalką z pleksi z wyeksponowanym krocem. Zapewne chodzi o Chrystusa. Dalej biadolenie o samotności, krzyku ciszy i inne pensjonarsko-ćwierćinteligencko-pijackie dyrdymały. Jako bonus dostajemy poradnik zielarski i przestrozę przed grzybicą. W rozdziale obowiązuje wstrzemięźliwość seksualna.

Rozdział XXVI

Bohater sięga dna w hierarchii nauczycielskiej – zostaje wuefmenem. Pogardzany przez grono pedagogiczne, mieszkańców wsi i okoliczne zwierzęta, żyje w ekstazie półmózgiego miłośnika kultury fizycznej, dla którego istotą bytu jest dwutakt i zagrywka (albo odwrotnie, pies to jebał). Niemniej, po jakimś odbiciu piłki główką dostrzega anachronizm religii, spleśniały marksizm ciała nauczycielskiego, upadek duchowości, słabość człowieka, solipsyzm, i w ogóle okazuje się, że to w czystej postaci tytan intelektu (a nawet przychodzi nam do głowy, czy to nie aby sam K.M.), który skrywa głęboko pod przepoconą podkoszulką pokłady rozumu i wrażliwości (każdy, kto chodził do szkoły, miał średnią powyżej 4 i zdał prawdziwą maturę, wybucha tutaj śmiechem). Pragnie miłości. Bez seksu. Trochę już dla nas za wiele tej wstrzemięźliwości, więc odszukujemy naszą Starą, która akurat wieszka pranie na strychu.

Rozdział XXVII

Ostatni. Trochę więc smutno, bo się człowiek zżył z tym prowincjonalnym bagienkiem i śmiesznymi pretendentami do roli intelektualistów, artystów i innych nierobów utrzymywanych przez państwo. Ale do rzeczy: ostatni dzień szkoły, wakacje, kochany belfer ostrzega przed skakaniem na główkę. Teraz prawdziwy dramat – wchodzi dyrektorka i każe zaklejać dzieciom imię patrona szkoły, kto wie, czy nie faszysty, prof. J. Wittiga. Rozumiemy, że teraz patronem będzie Nasz Papież, Jan Paweł II (choć nasz drugi papież, Benedykt XVI podobno chodził do Hitlerjugend, ale co to ma do rzeczy). Nauczyciel dostaje prezenty i chodzi po lesie. Ciągłe się boi. A tak w ogóle, to mamy wrażenie, czytając tę książkę, że nauczyciel nie lubi kleru i papieża. Właściwie nie wiemy dlaczego. Żal go nam.

Po lekturze *Sajgonu* nasuwa się pytanie, czy Karol Maliszewski to jeszcze mieszka i pracuje w Nowej Rudzie, czy też opluwszy tamtejsze środowisko, bohatercko dał dyla do innego miasteczka i po cichu zbiera materiały, by kiedyś obrobić dupę (dupy) komuś innemu. Możemy tylko przypuszczać, bo go nie znamy, znamy tylko ludzką naturę. Poza tym, zgadzamy się z Boyem. Puszczamy sobie VII Symfonię Beethovena i od razu robi się lepiej. Jemy obiad. Zupa nie jest za słona, więc Stara się szczerzy. Jeszcze ma czym. Sięgamy po *Przygody dobrego wojaka Szwejka*. No, to jest literatura! Zapominamy o Karolu Maliszewskim, Nowej Rudzie, ustawionych konkursach literackich i całym tym syfie. Życie jednak jest piękne.

Karol Maliszewski, *Sajgon*, Biuro Literackie, Wrocław 2009, 158 str. Wydane przy wsparciu miasta Wrocław i Miejskiej Biblioteki Publicznej we Wrocławiu.